NIWA POMORSKA

Dodatek literacki i oświatowy
do „Dziennika Pomorskiego"

Nr. 5. | CHOJNICE, dnia 8-go sierpnia 1926 r. | Rok 1.

F. Sędzicki.

Pieśni pomorskie.

I.

Gdy się rozpoczną dzikie harce burzy,
jakiejże treści wicher pieśni śpiewa,
że przed nią chylą kornie czubki drzewa,
że las stuletni rozrzewnion jej wtórzy?

Kiedy zamknięty kielich kwiatka róży,
a motyl wkoło skrzydełkami wiewa,
jakież uczucia brzękiem swym wylewa,
iż kwiatek wonne słodycze wynurzy?

Jakimże tonem woda rzeki pluszcze,
iż złamie upór twardej, martwej skały?

Co huka sowa w ciemne nocne puszcze,
by ptaki z gniazd swych trwożnie się zerwały?
Muszą wyrazy być to dość wymowne!
Lecz jak je ująć nam we formy słowne? —

II.

Kto je śpiewał, kto ułożył,
kto w melodyę ubrał je,
chyba jeden wicher wie,
co im w czystem polu wtórzył.

Rosły jako polne kwiecie,
jak niesiany w zbożu mak,
jako śpiewny w lesie ptak,
jak ros perły w rannem lecie.

Jako echo w głuchym borze,
podawane z ust do ust,
przechodziły różny gust
w różnym wzerze i kolorze.

Tak nucono je lat sta,
i jak umiem, śpiewam ja. — —

III.

Naszych pomorskich pieśni
skąd wziął się żałobny dźwięk,
w którym się rozpacz cieleśni,
zawodzi serc straszny jęk?

O, my do skarg niezbyt wcześni. —
W komórkach sercowych wnęk
tyle gryzących już pleśni,
że wzmianka ich budzi lęk.

— Uciekły od miast, od Wisły —
od morza, płonniejszych stron,
gdzie razi ich swojski ton. —

Wśród chat i kniei zawisły.
lecz krąg ich zwęża się ścisły. — —
O, pieśni, wam grozi skon! —

Z podań ludu pomorskiego.

Kto jest najsilniejszy?

Pewnego razu przechodził przez olbrzymie Bory Tucholskie jakiś samotny chłop. Naraz zauważył na drodze biegnącej pomiędzy kuźlami podlazłemi a piaszczystemi wydmuchowiskami trzech osobliwych ludzi, jakich on ani zapewnie nikt dotąd jeszcze nie widział.

Mianowicie jeden z nich miał na sobie olbrzymi płaszcz ale tak podarty, że już spowodu dziur wcale sukna poznać nie było można.

— To jakiś przewiewny człowiek! — pomyślał sobie chłop, temu wieje przez wszystkie fałdy.

Drugi przeciwnie miał na sobie gruby, biały kożuch z owczej skóry, grubą, wełnianą kapuzę kaszubską i takież rękawice, aczkolwiek zima już wówczas dawno minęła.

— To jest prawdziwy zmarzlak — powiedział sobie chłop w duszy — tego do żadnej roboty użyć nie można, bo to widać leniuch. Taki człowiek mi się nie podoba.

Zaczem spojrzał na trzeciego osobnika, ale zaraz musiał zamknąć oczy, albowiem tak raziło światło, które od niego biło. Szaty jego bowiem były tak świetliste jak słońce.

— Niech będzie pochwalony...! zawołał chłop i chciał przejść obok nich.

— Hola! zawołali wszyscy trzej — prosimy nam wpierw powiedzieć, do którego z nas ten ukłon się odnosi?

— Do najsilniejszego z was. — odpowiedział chłop spokojnie i znów zabierał się do dalszej drogi.

Ale tamci ani rusz nie pozwolili mu iść dalej. Zaczęli się sprzeczać między sobą kto z nich najsilniejszy, a w końcu rzekli:

— Więc powiedz nam, kto z nas najsilniejszy? Chłop popatrzył na wszystkich trzech i odparł ze spokojem:

— Ten, który najmniej stracić może i kto najmniejsze ma wymagania, a takim zawsze jest biedak. A zatem mój ukłon odnosi się do tego obszarpańca, bo on niezawodnie jest najbiedniejszym z pośród was.

Orzeczenie to owych dwóch innych rozgniewało i ten jaśniejący tak słońce rzucił zmarkoconemu mocno tem chłopu tak ogniste spojrzenie, jakby zabłysną płomień piorunu.

— Poczekajno! — zawołał — Ja jestem słońcem i niech no nastanie pełne lato, to ja ci pokażę. — Będę cię palił tak gorącymi promieniami, że się uwędzisz jak słonina w kominie.

— Przypatrz no mi się dobrze — odrzekł ten w kożuchu, patrząc na Bogu ducha winnego chłopca tak lodowatym spojrzeniem, aż mu mróz przenikał serce, — abyś mnie poznał, gdy zima nadejdzie. Jestem mrozem i będę ci tak dosadzał, że będziesz dzwonił zębami, jak łodygi trzciny w najmroźniejszą zimową noc.

Lecz na to odrzekł obszarpaniec głosem szeleszczącym jak letni wiatr wieczorny:

— Nie bój się mój drogi! Ja ich obu poskromię. Jestem bowiem wiatrem i ochronię cię przed swawolą mych towarzyszy. Jeżeli słońce zanadto dopiekać ci będzie, powiewem mym przyniosę ci błogi chłód. Jeżeli zaś zima przyskrzyniać cię będzie zanadto w swych lodowatych kleszczach, wtedy zatkam wszystkie dziury w mym płaszczu. Ani jeden powiew się nie ruszy i moc srogiego towarzysza mego zostanie osłabiona.

Słysząc to chłop udał się spokojnie w dalszą drogę, będąc przekonany, że wiatr nie pozwoli, aby mu dwaj jego towarzysze wyrządzili zbyt wielką krzywdę.

I dla tego to na Pomorzu mamy tak częste i tak gwałtowne nieraz wiatry i wichry.

F. Sędzicki.

Zwonią na polu żniwny kose.

Zwonią na polu żniwny kose
i obok pokosk walny kładą
Jędrny sę sepią zarnem kłose,
zbóż pełny żniwny woze jadą.

Weprawię też żniwnygo „dziada",
muzekę, tane, co se zowie;
zlecy sę cało wnet osada:
dzewuszci młody i druhowie.

Nie będę skąpił piwa, fychu *)—
niech wies roz walnie sę ubawi;
będzie tam wrzosku, śpiewów, smniechu...
Le... cze sę też i ona... stawi? — —

Każdo le na mnie strzelo ociem
i sę przemnilo, cie sę zdarzy,
a ona... wstec mnie mnijo bociem
i mnie uniko coroz barzyj.

A jednak mnie le cągnie do nij
niepowstrzymaną jakąs mocą,
cie niebo okna dnia odsłoni,
abo zasypiąm cemną nocą.

Eh! tec nie jednyj le Marynka
na imię, co mo pezeczk pyszy **)—
Nie pusty u mnie spichrz i skrzynka —
zalot mych każdo rada słyszy.

Rozeslę drużbów, sprąwię gode,
po co mąm w melankolji chodzec, —
możo je gładszo jesz z urode!...
...Le serce... z tym sę nie che zgodzec.

Cóż mnie Marynka ta zadała?
Jaci opętoł mnie łomoniec? ***)
Z rozumu schody człek bezmała
i przed nią drży jak suchy zwoniec.

Tec nieroz jaże mnierznie żecy
i swiat sę wkół wedaje trupi!
Cóżże to mękę taką mnięcy?
i czemuż serce tací głupi? — —

*) wódki, **) piękną buzię, ***) omana, czart.

Wolimir Lubicz.

Ukarany kret.

Wiadomo ogólnie, że mieszczanie, o ile im się nadarzała sposobność, kpili sobie chętnie, zwłaszcza przy kieliszku z zachowania się na bruku miejskim wieśniaków. Ci atoli niemniej skorzystali chętnie z każdej nadarzającej się okazji, aby wyśmiewać się z „mieszczuchów", zwłaszcza gdy ci przybyli na wieś i nieumiejętnie zabrali się do gospodarstwa wiejskiego.

Wiele materjału do takich kpin dostarczył Grzegorz Łyk, o którego dziejach życia i działalności zasłyszałem okolicznościowo takie np. szczegóły:

Grzegórz Łyk narodził się w wielkiem mieście, w mieście się wychował i poza miasto nigdy nosa nie wytknął. Nie znał się ani na gospodarstwie rolnem ani ogrodowem, a drzewa znał najwyżej o tyle, o ile spotkał je w ogrodach restauracyjnych, do których uczęszczać lubił (zaszczyt czyniąc swemu nazwisku) albo kiedy porządnie olulkany łbem walił w pnie drzew ulicznych, względnie obłapiwszy się ramionami jako rozpaczliwego punktu oparcia używał. Co zaś do roślin innych i ich kultury, to znał najwyżej kwiaty w doniczkach, które mu — reszta ku jego wściekłości — gospodyni stawiała na okna lub balkon.

I zważyć, że taki człowiek został ogrodnikiem.

Właścicielem wielkiego warzywnego zakładu ogrodniczego na wsi.

Ale posłuchamy jak to się stało.

Grzegórz Łyk od dzieciństwa nie trwonił wobec ludzi darów umysłowych i dowcipu. Nauczyciele daremne się kusili o to, aby z niego wydobyć jakieś odpowiedzi świadczące o bystrości umysłu. Mały Grzegórz ze swej wiedzy nic albo mało, bardzo mało wronił, wobec czego zaliczano go do najgorszych uczni. Skutek był ten, że ostatecznie rodzic Grzegorza oddał swego synalka w naukę do rzemiosła mularskiego. Szczęście czy nieszczęście chciało, że pewnego razu — dzięki swej zręczności — spadł z drabiny i nadwyrężył sobie nogę, na którą od tego czasu nieco utykał. Z tego powodu uznano go za niezdatnego do rzemiosła mularskiego i Grzegorz, który w międzyczasie już podrósł i prześciowo zajmował się organizacją robotniczą został sekretarzem powiatowym.

Było mu przy jego wiadomościach bardzo dobrze. Ale nieszczęście chciało, że pewnego razu korzystając z nieobecności naczelnika powiatu podchmielił sobie cokolwiek ponad zwykłą miarę, wsiadł sobie do powozu powiatowego i obwoływał siebie naczelnikiem powiatu.

Skończyło się redukcją. Nastały dla biednego Grzegorza ciężkie dni. Jak zwykle ludzie o tym stopniu inteligencji nie stracił on jednak nigdy ducha. Dzięki znajomościom poprzednio zawartym i różnorodnym kombinacjom przeszedł rozmaite instancje karjery życiowej. Był handlarzem, kupcem pośrednikiem handlowym, agentem od ubezpieczeń stręczycielem małżeństw, adwokatem ludowym, właścicielem banku itp.itp. wszystko z tem samym wynikiem, że każde jego nowe przedsiębiorstwo, czy zawód przechodził zwykłe koleje ziemskie (t. zn. znaczy, że miały początek a niestety i rychły koniec (Szczęśliwie nie było wówczas „sanacji moralnej" i Grzegórz nie mógł wstąpić do „Strzelca" aby zrobić karjerę wojskową. — dop. zecera.) ostatecznie zanosiło się już na koniec i życia poczciwego Łyka, albowiem doszło do tego, że już nie widział dla siebie żadnego wyjścia. Nikt mu bowiem ani pożyczyć pieniędzy, nawet wódką poczęstować nie chciał i drzewa uliczne obok których przechodził, spoglądały na niego z trwogą i zaciekawieniem, na którem z nich zawiśnie. Niemniej trwożliwie uciekała woda, gdy stawał na moście nad rzeką. jakby zastanawiał nad tem, z którego miejsca najwygodniej skoczyć do nie.

Byłby to niewątpliwie uczynił, gdyby nie pewna zacna matrona, u której narobił niezliczoną ilość długów.

— Co? — zawołała — zabić się zamierzasz, szkaradniku. Tfu! A kto mi zwróci twoje długi? Przez całą wieczność spokoju ci nie dadzą za moją krzywdę.

Nie było rady. Grzegórz Łyk jako człowiek uczciwy nie mógł umierać obarczony ciężkimi długami i skazywać swej duszy na ciągły niepokój.

Musiał żyć nadal, przyrzec, że długi zwróci, a dla większej pewności oddał się sam w zastaw owej matronie i z nią się ożenił.

I to go sprowadziło na wieś.

Albowiem jakaś ciocia żony, tak przez Grzegorza nabytej, widząc, że tak Łyk, jak i jego żona po ślubie jakoś coraz w większą popadają nędzę i mają ich już wyrzucić z mieszkania, sama przeniosła się na tamten świat, gdzie dotąd jeszcze trudności mieszkaniowych niema i gdzie już mąż tej cioci wybrał się przed nie wielu laty, aby przygotować mieszkanie dla swej połowicy, która niemało się do tego przyczyniła, by wyjazd męża swego przyspieszyć.

I ciocia ta przeznaczyła Łykowej wielki warzywny zakład ogrodniczy w pięknie położonej wiosce podmiejskiej. Jednakowoż Łykowa tak się przywiązała do miasta, że żadną miarą opuścić go nie chciała i niewiadomo w jakim celu czy dla zamiany zapisu na inny praktyczniejszy zapis podążyła za swą ciotką do krainy wieczności i więcej niestety nie wróciła.

Wskutek tego cały ciężar spadku po ciotce żony przypadł Łykowi, który przyjął go z pokorą na swe barki i natychmiast wybrał się na wieś, gdzie zabrał się do ogrodnictwa.

Jak dzielnie zabrał się do wypełniena tego zawodu, łatwo sobie wyobrazić, zwłaszcza, że początkowo gardząc wieśniakami żadnej rady słuchać nie chciał. Kiedy jednak ani zasiana sumiennie sól ani marmelade, cukier itp. nie wschodziły, i żadnych ze swego ogrodu nie miał korzyści, przypuszczał do rady jednego ze swych znajomych, którego jeszcze swego czasu poznał, gdy był adwokatem ludowym i naraził na gruby proces, co pochłonął wielkie sumy bez wszelkiej korzyści.

Łyk jednak uspokoił swego klijenta tem, że dzięki temu procesowi zawarł znajomość z różnymi sędziami, że mu ściskali nawet rękę adwokaci, gdy im dawał pieniądze i że nabrał przez ten proces rozumu, za co powinien mu nawet być wdzięczny. Klijent, któremu po nazwisku było Trąba, przyznał po długiem pomstowaniu rację i jak mógł wywdzięczał się teraz Łykowi udzielając mu niekiedy mądrej a częściej jeszcze głupiej rady.

Otóż po pewnym czasie, gdy już ogród Łyka jako tako dzięki doradom Trąby się przedstawiał, naraz szczęśliwy tem ogrodnik amator zauważył, że warzywa jego jakoś nagle poschylały główki, jakby chciały umierać.

Łyka ogarnęła prawdziwa rozpacz

I kogoż nie dotknęłoby to tak samo, gdyby patrzył na rozwijącą się świetnie z rana sałatę, która już w południe żółknęła a nad wieczorem upadła na ziemię jako zwiędniały płat zielska... Albo jak ziemniaki, które zapowiadały hojne i obfite żniwo naraz więdnąć, schnąć zaczęły, a ostatecznie marniały jak muchy.

Sąsiad Trąba przywołany celem zbadania sprawy, potrząsnął poważnie głową i rzekł:

— W pańskim ogrodzie znajduje się niezawodnie kret.

— Kret?... zawołał Łyk.

— Jeden jedyny wystarczy, aby zniszczyć cały ogród i jeżeli pan jego nie ubije, to pańskie warzywo i ogród i pan zmarnieje.

— Ale jakże się dobrać do tego przeklętego szkodnika?

Łyk bawiąc w mieście słyszał niejednokrotnie o polowaniach na dzikie zwierzęta, sam jako sekretarz powiatowy brał nawet w nich udział ale o polowaniu i nagance na krety jeszcze nic nie słyszał.

Jednakże opatrzność czuwała i pewnego razu wieczorem przybiegł do niego synek sąsiada, krzycząc:

— Panie Łyku, panie Łyku, ja złapałem kreta, ja złapałem kreta.

I pokazał maleńkie czarne zwierzę, które znalazł pod krzakiem poziomek.

— Przeklęte zwierzę! zaklął Łyk pomny na ogrom szkody, jakie mu wyrządziło to małe niepozorne stworzenie i zastanowił się głęboko nad odpowiednim rodzajem okrutnej śmierci, jaką mu zadać pragnął, ażeby się odpowiednio pomścić za swe krzywdy, za zbrodnie popełnione przez kreta w jego ogrodzie.

— Panie! — odrzekł synek sąsiada — ja mu zetnę łeb.

— To nie wystarczy — odrzekł mściwym tonem ogrodnik — on musi zginąć o wiele okropniejszą śmiercią.

I naraz wpadł na świetny pomysł. Pobiegł po łopatę wykopał głęboki dół.

— Czekaj łotrowska bestjo! — Ja ci pokażę. — A zwróciwszy się do synka sąsiada wywodził dalej:

— Szkodnik ten zginie najokropniejszą śmiercią: przez uduszenie — zakopany żywcem w ziemi.

To mówiąc rzucił kreta w dół i zasypał całkiem żywego ziemią.

Taką to.. straszną śmiercią zginął kret za to, że rył w ogrodzie Grzegorza.

Frantówki-Pieśni ludowe.

Idzie Jaś wprost przez las
Kaśka wedle lasa. —
Krzyknął raz, drugi raz!..
Usłyszała Kasia.

— Jaśku mój nie wędruj:
bo będę płakała. —
— Popłakuj, pożaluj,
żeś mnie nie słuchała!

— Mówił ja... raz i dwa:
Kaśko, ożeńma się *)
Tyś co dnia lata dwa
matki radziła się. —

— Jaśku mój, błąd daruj,
bożem nie wiedziała,
żem tak twa, a ty mój,
żem cię tak kochała. —

— Dla twych lic, dziewczę, żyć! —
Już do gód jest blisko:
A ty smyk skrzypko, chwyć,
będzie weselisko!...

(Kościerzyna podał S)

*) Jest to czysta forma narzecza kościerskiego, która się wyjątkowo w piosence tej zachowała. Może to świadczy o jej stamtąd pochodzeniu.

Nad trumną narodowego pieśniarza.

Polska znowu okryła się całunem żałoby. 1 sierpnia bowiem zmarł jak już donosiliśmy największy poeta współczesny Jan Kasprowicz, poeta narodowy i ludowy (dodatkowo nadmieniamy, że w tych dniach zmarł także zdolny poeta i wielbiciel Piłsudskiego, dentysta Edward Słoński.)

Jan Kasprowicz urodził się w r. 1860 we wsi Szymborzu pod Inowrocławiem. Rodzice jego, włościanie małorolni, żyjący z wyrobku, kształcili go zrazu w szkółce wiejskiej, potem oddali do gimnazjum w Inowrocławiu. Kasprowicz z trudem zdobywał świadectwa w szkole niemieckiej, zmieniał szkoły, wreszcie skończył gimnazjum w Poznaniu w r. 1884.

Studja uniwersyteckie prowadził w Lipsku i Wrocławiu. W r. 1887 uwięziony był za przynależność do tajnych związków. Po opuszczeniu więzienia przeniósł się do Lwowa. Tam do r. 1908 zarabiał na chleb jako dziennikarz.

W tym roku uniwersytet lwowski powołał go na katedrę literatury porównawczej. Wykłady przerwał przed paru laty z powodu choroby.

Poezji oddawał się już na ławie szkolnej. Do szczytu sławy doszedł już w pierwszych latach tego stulecia.

W r. 1911 wyszły we Lwowie jego dzieła oryginalne w 6 dużych tomach. Potem przybyło jeszcze kilka zbiorów. Ostatni tom „Mój Świat" wyszedł z końcem 1925. Poeta stworzył ten przepiękny cykl poezji już podczas ciężkiej choroby, z której już nie powstał.

Do wielkich zasług Kasprowicza należy jego praca jako tłumacza. Przełożył wiele arcydzieł poezji i wiele książek pożytecznych.

Sp. Jan Kasprowicz był poetą istotnie wielkiej miary najcenniejszym dorobkiem piśmiennictwa polskiego czasów najnowszych. On reprezentował najwyższy szczyt polskiej twórczości poetyckiej w czasach, gdy Polska szła ku odrodzeniu i niepodległość odzyskiwała. Był poetą nowej Polski, wchodzącej w okres cywilizacji. Miała ona odtąd objąć wszystkie warstwy społeczeństwa. Kasprowicz zamanifestował głębokie życie duchowe narodu. Był poetą narodowym.

Czuli to wszyscy, że przemawia do nich jakiś głos kosmiczny ducha polskiego. Nie wszyscy umieli ocenić jego wartość. Kasprowicz znacznie wyprzedził swój wiek. Ale odczuwano powszechnie w dreszczu słowo jego i majestat ducha, wstępującego w szranki sztuki.

Jan Kasprowicz, którego główną treścią duszy była twarda i trzeźwa, nienaiwna ale i niezłomna wiara w żywiołową konieczność zmartwychwstania, był niezrównanem uosobieniem tej pewności i nieugiętości w czasie wielkiego przełomu wojny światowej, doczekał się wolności ziemi, której był tak przyrodzonym wytworem jak polskie zboże, schodzi w nią dzisiaj jako ostatni i największy wieszcz tych drgających bólem i nadzieją lat przed wielką chwilą odrodzenia.

Zostawił po sobie wielką spuściznę, z której wyrasta całe pokolenie pisarzy. Był wielkim twórcą i wielkim pracownikiem. Służył chwale twórczości polskiej całą istnością, wszystką krwią ducha. Kochał człowieka i cierpiał za niego. A w dziełach jego ducha rozpoznajemy swoje człowieczeństwo, którego nieraz nie dostrzega się w życiu codziennem i uczymy się cenić jego wartość.

Nadmienić wypada, że na wieść o śmierci tego wieszcza ze wszystkich stron tak urzędowo jakoteż i prywatnie nadesłano rodzinie serdeczne wyrazy współczucia.

Śmierć nastąpiła spowodu słabego działania serca spowodowanego cukrzycą.

Pogrzeb odbył się w środę w Zakopanem. Niech spoczywa w spokoju!

Urywki poetyczne tego pisarza podamy w następnym numerze.

Rozmaitości.

„Świętokradztwo" w świątyni mahometańskiej. W Kairuan, świętem mieście Tunisu w Afryce omal nie przyszło w tych dniach do rewolucji z powodu aparatu fotograficznego.

Energiczne wystąpienie policji i wojska ochroniło znienawidzonych „rumi" — jak nazywają Arabowie Europejczyków od rzezi.

W Kairuanie znajduje się grób marabuta, Djamy Amora Abbaby.

Nad miejscem tego wiecznego spoczynku wznosi się meczet, miejsce pielgrzymek pobożnych mahometan.

Djam Amor Abbada był podobno wybitnym siłaczem. Największym mieczem wywijał z taką łatwością, jakby to była gałązka palmy, a wieczorami, po trudach całego dnia, palił fajkę niepospolitych rozmiarów.

Był bowiem olbrzymem i zarazem wielkim mędrcem.

Fajka i miecz wiszą dotąd nad grobem marabuta w otoczeniu chorągwi i kwiatów.

Pewna miss amerykańska, zwiedzająca cudowną świątynię, roześmiała się na widok tych relikwji i wśród głośnej radości i swych towarzyszy skierowała na grób świętego objektyw Kodaka, aby zrobić zdjęcie fotograficzne.

Mahometanie, obecni w świątyni, tak się oburzyli zachowaniem amerykańskiego towarzystwa, iż rozbili aparat fotograficzny i wywlekli świętokradców przed meczet, aby ich tam zamordować.

Szczęściem przybyła w porę pomoc, podróżnicy są jednak mocno poturbowani.

Nowe bliźnięta siamskie. W South Bend w Stanie amerykańskim Indjana pewna pani Medich porodziła bliźięta, zrośnięte ze sobą żywotem o zwróconych do siebie twarzach. Badania kilku z urzędu lekarzy wykazywały, że bliźnięta będą długo żyły zrośnięte ze sobą. Poszczególne członki ich są zupełnie zdrowe. Jedno z bliźniąt jest przytem od drugiego tak dalece niezależne, że jedno np. może pić mleko, gdy drugie smacznie śpi. Zdaniem lekarzy bliźnięta będą mogli nawet później chodzić, gdy nieco wyrosną. Operacja zdaniem wybitnych chirurgów mogąca oddzielić bliźnięta od siebie, jest niemożliwa. Skończyłaby się ona bowiem niechybna śmiercią zrośniętych na wszystkie czasy dzieci.

Wielkie cyrki amerykańskie już czynią starania, ażeby bliźnięta o ile możności już teraz u rodziców zobowiązać dla wielkich przedsiębiorstw, gdzie mają być pokazywane ludności.

Żywy pomnik przeszłości. Najstarszem drzewem na świecie jest klon Hippokratesa, rosnący w mieście Kos, na wyspie tej samej nazwy, przy brzegach Małej Azji. Pod cieniem tego drzewa znakomity lekarz starożytności głosił swe wykłady w 4. wieku przed Chrystusem. A ponieważ wówczas to było już dosyć stare, więc bez większego błędu można określić jego wiek na 2500 lat. Pień drzewa ma 20 m obwodu. Gałęzie każdą wiosną pokrywają się liśćmi, lecz siła żywotna z każdym rokiem maleje, tak że mieszkańcy okoliczni podpierają gałęzie pod porkami.

Żywy ten pomnik przeszłości ma mimo to jeszcze przed sobą wiele lat życia.

Redaktor odpowiedzialny: Stefan Tobolski.
Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego" w Chojnicach.